

WŁADYSŁAW
REYMONT

ZIEMIA
OBIECANA



BUKOWY LAS



Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgłębliwiej inne i darły się chrapliwymi, niesfornymi głosami, niby chór potwornych kogutów piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje kominy majaczyły w nocy, w mgłę i w deszczu, budziły się z wolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębamii dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, mroźny deszcz pomieszany ze śniegiem padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grząskiego błota, na nagie drzewa przytulone do długich murów, drżące z zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiękłych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto, i szumiał między gałęziami drzew, i bił nimi w szyby niskiego parterowego domu, w którym nagle zabłysło światło.

Borowiecki się obudził, zapalił świecę i równocześnie buzdzik zaczął dzwonić gwałtownie, wskazując piątą.

- Mateusz, herbata! – krzyknął do wchodzącego lokaja.
- Wszystko gotowe.
- Panowie śpią jeszcze?

– Zaraz będę budził, jeśli pan dyrektor każe, bo pan Moryc mówił wieczorem, że chce dzisiaj spać dłużej.

– Idź obudź.

– Klucze już brali?

– Sam Szwarc wstępował.

– Telefonował kto w nocy?

– Kunke był na dyżurze, ale odchodząc, nic mi nie mówił.

– Co słyhać na mieście? – pytał prędko, przędziej jeszcze się ubierając.

– A nic, ino zaś na Gajerowskim Rynku zażgali robotnika.

– Dosoć, ruszaj.

– Ale spaliła się też fabryka Goldberga, na Cegielnianej. Nasza straż jeździła, ale wszystko dobrze poszło, ostały tylko mury. Z suszarni poszedł ogień.

– Cóż więcej?

– A nic, wszystko poszło *fein*, na glanc. – Zaśmiał się rechocząco.

– Nalewaj herbatę, ja sam obudzę pana Moryca.

Ubrał się i poszedł do sąsiednich pokojów, przechodząc przez stołowy, w którym wisząca u sufitu lampa rozrzuciła ostre, białe światło na stół okrągły, nakryty obrusem i zastawiony filiżankami i na samowar błyszczący.

– Maks, piąta godzina, wstawaj! – zawołał, otwierając drzwi do ciemnego pokoju, z którego buchnęło duszne, przesycone zapachem fiołków powietrze.

Maks się nie odezwał, tylko łóżko zaczęło trzeszczeć i skrzypieć.

– Moryc! – zawołał do drugiego pokoju.

– Nie śpię. Nie spałem całą noc.

– Dlaczego?

– Myślałem o tym naszym interesie, trochę sobie obliczałem i tak zeszło.

– Wiesz, Goldberg się spalił dzisiaj w nocy i to zupełnie na glanc, jak Mateusz mówi...

– Dla mnie to nie nowina – odpowiedział, ziewając.

– Skąd wiedziałeś?

– Ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić. Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu nie dadzą od asekuracji.

- Miał dużo towaru?
- Miał dużo zaasekurowane...
- Bilans sobie wyrównał.

Roześmiali się obaj szczerze.

Borowiecki wrócił do stołowego i pił herbatę, a Moryc, jak zwykle, szukał po całym pokoju różnych części garderoby i wymyślał Mateuszowi.

– Ja tobie zbiję ładny kawałek pyska, ja ci z niego czerwony barchan zrobię, jak mi nie będziesz składał wszystkiego porządnie.

– *Morgen!* – krzyknął przebudzony wreszcie Maks.

– Nie wstajesz? Już po piątej.

Odpowiedź zagłuszyły świstawki, które się rozległy jakby tuż nad domem i ryczały przez kilkanaście sekund z taką siłą, aż szyby brzęczały w oknach.

Moryc, w białym tylko, z paltem na ramionach, usiadł przed piecem, w którym wesoło trzaskały szczapy smolne.

– Nie wychodzisz?

– Nie. Miałem jechać do Tomaszowa, bo Weis pisał do mnie, aby mu sprowadzić nowe gręple, ale teraz nie pojedę. Zimno mi i nie chce mi się.

– Maks, także zostajesz w domu?

– Gdzie się będę spieszył? Do tej parszywej budy? A zresztą wczoraj się z fatrem pożarłem.

– Maks, ty źle skończysz przez to żarcie się ciągle ze wszystkimi! – mruknął niechętnie i surowo Moryc, rozgrzebując pogrzebaczem ogień.

– Co cię to obchodzi! – krzyknął głos z drugiego pokoju.

Łóżko zatrzeszczało gwałtownie i w drzwiach ukazała się wielka figura Maksa w białym tylko i w pantoflach.

– A właśnie, że mnie to bardzo obchodzi.

– Daj mi spokój, nie irytuj mnie. Karol mnie obudził diabli wiedzą po co, a ten znowu pyskować zaczyna.

Gadał głośno, niskim, silnie brzmącym głosem.

Cofnął się do swojego pokoju i po chwili wyniósł całą garderobę, rzucił ją na dywan i z wolna się ubierał.

– Ty nam psujesz interes tym swoim żarciem – zaczął znowu Moryc, wciskając złote binokle na swój suchy semicki nos, bo mu się ciągle zsuwały.

– Gdzie? Co? Jak?

– Wszędzie. Wczoraj u Blumentalów powiedziałeś głośno, że większość naszych fabrykantów to prości złodzieje i oszuści.

– Powiedziałem, a jakże i zawsze to będę mówił.

Jakiś niechętny, pogardliwy uśmiech przeleciał mu po twarzy, gdy patrzył na Moryca.

– Ty, Maks Baum, mówić tego nie będziesz, mówić ci tego nie wolno, to ja ci powiadam.

– Dlaczego? – zapytał cicho i oparł się o stół.

– Ja ci powiem, jeśli tego nie rozumiesz. Przede wszystkim, co ci do tego? Co cię to obchodzi, czy oni są złodzieje, czy porządni ludzie? My wszyscy razem jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić geszeft, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi pieniądze, jak może i jak umie. Ty jesteś czerwony, ty jesteś radykał paś numer cztery.

– Ja jestem uczciwy człowiek – burknął tamten, nalewając sobie herbatę.

Borowiecki, oparty o stół łokciami, utopił twarz w dłoniach i słuchał.

Moryc na odpowiedź usłyszaną odwrócił się gwałtownie, aż binokle mu spadły i uderzyły w poręcz krzesła, popatrzył na Maksa z uśmiechem gryzącej ironii na wąskich ustach, pogładził cienkimi palcami, na których skrzyły się brylantowe pierścionki, rzadką, czarną jak smoła brodę i szepnął drwiąco:

– Nie gadaj, Maks, głupstw. Tu chodzi o pieniądze. Tu chodzi, żebyś nie wyjeżdżał z tymi oskarżeniami publicznie, bo to naszemu kredytowi może zaszkodzić. My mamy założyć fabrykę we trzech, my nic nie mamy, to my potrzebujemy mieć kredyt i zaufanie u tych, co go nam dadzą. My teraz potrzebujemy być porządni ludzie, gładcy, mili, dobrzy. Jak ci Borman powie: „Podła Łódź”, to mu powiedz, że jest cztery razy podłą – jemu trzeba przytakiwać, bo to gruba fisz. A coś ty o nim powiedział do Knolla? Że jest głupi cham. Człowieku, on nie jest głupi, bo on ze swojej mózgownicy wyciągnął miliony, on te miliony ma, a my je także chcemy mieć. Będziemy mówić o nich wtedy, jak będziemy mieli pieniądze, a teraz trzeba siedzieć cicho, oni są nam potrzebni; no, niech Karol powie, czy ja nie mam racji, mnie idzie przecież o przyszłość nas trzech.

– Moryc ma zupełną prawie słuszość – powiedział twardo Borowiecki, podnosząc zimne, szare oczy na wzburzonego Maksa.

– Ja wiem, że wy macie rację, łódzką rację, ale nie zapominajcie, że jestem uczciwy człowiek.

– Frazes, stary, wytarty frazes!

– Moryc, ty jesteś podły żydziak! – wykrzyknął gwałtownie Baum.

– A ty jesteś głupi, sentymentalny Niemiec.

– Kłóćcie się o wyrazy – ozwał się chłodno Borowiecki i zaczął wdziewać palto. – Żałuję, że nie mogę zostać z wami, ale puszczam w ruch nową drukarnię.

– Nasza wczorajsza rozmowa na czym stanęła? – zapytał spokojnie już Baum.

– Zakładamy fabrykę.

– Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic. – Zaśmiał się głośno.

– To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę. Cóż stracimy? Zarobić zawsze można – dorzucił po chwili. – Zresztą, albo robimy interes, albo interesu nie robimy. Powiedźcie raz jeszcze.

– Robimy, robimy! – powtórzyli obaj.

– Co to, Goldberg się spalił? – zapytał Baum.

– Tak, zrobił sobie bilans. Mądry chłop, zrobi miliony.

– Albo skończy w kryminale.

– Głupie słowo! – zachnął się niecierpliwie Moryc. – Ty sobie takie rzeczy gadaj w Berlinie, w Paryżu, w Warszawie, ale w Łodzi nie gadaj. To nieprzyjemne słowa, nam oszczędź ich.

Maks się nie odezwał.

Świstawki znowu zaczęły podnosić swoje przenikliwe, denerwujące głosy i śpiewały coraz potężniej hejnał poranny.

– No, muszę już iść. Do widzenia, współnicy, nie kłóćcie się, idźcie spać i śnijcie o tych milionach, jakie zrobimy.

– Zrobimy!

– Zrobimy! – powiedzieli razem.

Uścisnęli sobie mocno, po przyjacielsku dłonie.

– Zapisać trzeba dzisiejszą datę; będzie ona dla nas bardzo pamiętną.

– Dodaj tam, Maksie, taki nawias, kto z nas najpierw zechce okpić drugich.

– Ty, Borowiecki, jesteś szlachcic, masz na biletach wizytowych herb, kładłeś nawet na prokurze swoje *von*, a jesteś największym z nas wszystkich Lodzermenschem – szepnęła Moryc.

– A ty nim nie jesteś?

– Ja przede wszystkim mówić o tym nie potrzebuję, bo ja potrzebuję zrobić pieniądze. Wy i Niemcy to dobre narody, ale do gadania.

Borowiecki podniósł kołnierz, pozapinał się starannie i wyszedł.

Deszcz mżył bezustannie i zaciął skośnie, aż do pół okien małych domków, co w tym końcu Piotrkowskiej ulicy stały gęsto przy sobie, gdzieniegdzie tylko jakby rozepchnięte olbrzymem fabrycznym lub wspaniałym pałacem fabrykanta.

Szeregi niskich lip na trotuarze gięły się automatycznie pod uderzeniem wiatru, który hulał po błotnistej, prawie czarnej ulicy, bo rzadkie latarnie rozsiewały tylko koła niewielkie żółtego światła, w którym błyszczało czarne, lepkie błoto na ulicy i migwały setki ludzi, w ciszy wielkiej a z pośpiechem szalonym biegnących na głos tych świstawek, co teraz coraz rzadziej odzywały się dokoła.

– Zrobimy? – powtórzył Borowiecki, przystając i topiąc spojrzenie w tym chaosie kominów, majaczących w ciemności; w tej masie czarnej, nieruchomej, dzikiej jakimś kamiennym spokojem fabryk, co stały wszędzie i ze wszystkich stron zdały się wyrastać przed nim czerwonymi, potężnymi murami.

– *Morgen!* – rzucił ktoś stojącemu, biegnąc dalej.

– *Morgen...* – szepnęła i poszedł wolniej.

Gryzły go wątpliwości, tysiące myśli, cyfr, przypuszczeń i kombinacji przewijało mu się pod czaszką, zapominał prawie, gdzie jest i dokąd idzie.

Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypęzłło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska – napelniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek błyszczących w świetle latarń, stukiem suchym

drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym oraz chłupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapelniali trotuary, człapali środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani z wolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistymi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podporać i jakby chwiał się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza pełna chłupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdziekolwiek, w jakimś okienku na poddaszu lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistym i obijał się o uszy Borowieckiego, który wciąż spacerował po ulicy i patrzył w okna fabryk, za którymi rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Nie chciało mu się iść do roboty. Było mu dobrze tak chodzić i myśleć o tej przyszłej fabryce, urządzać ją, puszczać w ruch, pilnować. Tak się zatapiał w tym rozmarzeniu, że chwilami najwyraźniej słyszał około siebie i czuł tę przyszłą fabrykę. Widział stopy materiałów, widział kantor, kupujących, szalony ruch, jaki panował. Czuł jakąś wielką falę bogactw płynącą mu pod stopy.

Uśmiechał się bezwiednie, oczy mu wilgotnymi blaskami świeciły, na błądą, piękną twarz występowały rumieńce głębokiej radości. Poglądził nerwowo brodę mokrą od deszczu i oprzytomniał.

– Co za głupstwo – szepnął niechętnie i obejrzał się dokoła, jakby z obawy, czy kto nie widział tej chwilowej słabości.

Nie było nikogo, ale już szarzało, ze słabego, przemglonego świtu zaczynały powoli wychylać się kontury drzew, fabryk i domów.

Piotrkowską zaczynały ciągnąć od rogatek sznury chłopskich wozów, od miasta turkotały po wybojach olbrzymie wozy towarowe ładowane węglem i platformy naładowane przędzą, bawełną w belach, surowym towarem lub beczkami, a pomiędzy nimi przemykały pospiesznie małe bryczki lub powoziki fabrykantów spieszących do zajęć lub tłukła się z hałasem dorożka wioząca zapóźnionego oficjalistę.

Borowiecki przy końcu Piotrkowskiej skręcił na lewo, w małą, niebrukowaną uliczkę, oświetloną kilkoma latarniami na sznurach i olbrzymią fabryką, która już szła. Długi cztero-piętrowy budynek świecił wszystkimi oknami.

Przebrał się szybko w zafarbowaną, brudną bluzę i pobiegł do swojego oddziału.

II



– Murray, dzień dobry! – krzyknął Borowiecki.

Murray, okręcony w długi, niebieski fartuch, wysunął się spoza rzędów ruchomych kotłów, w których się gotowały i robiły farby. W mdłym świetle elektrycznym, przesyconym kolorowymi parami, jego długa, koścista twarz starannie wygolona i świecąca bladoniebieskimi, jakby wypełzłymi oczami, robiła wrażenie karykatury z „Puncha”^{*}.

– A, Borowiecki! Chciałem widzieć pana, byłem u was wieczorem, zastałem Moryca, ale że ja go nie cierpię, nie czekałem.

– Dobry chłopak.

– Co mi do jego dobroci! Nie cierpię jego rasy.

– Drukują już pięćdziesiąty siódmy numer?

– Drukują. Wydałem farbę.

– Trzyma się?

– Pierwsze metry nieco lakowała. Przyszli z centrali zamówienie na pięćset sztuk tej pańskiej lamy.

– Aha, dwudziesty czwarty numer, seledynowa.

– I z filii Bech telefonował o to samo. Czy będziemy robić?

– Dzisiaj już nie. Mamy bojki pilne, mamy jeszcze pilniejsze do drukowania te letnie korty.

^{*} „Punch” (ang. cios) – tygodnik satyryczny ukazujący się w Wielkiej Brytanii latach 1841–1992 i 1996–2002; czasopismo publikowało serie rysunków satyrycznych z rymowanym komentarzem (prototyp komiksu). Współpracowali z nim sławni pisarze, m.in. William Makepeace Thackeray, autor *Pierścienia i róży*, czy Alan Alexander Milne, twórca *Kubusia Puchatka*.

– Telefonowali o barchan numer siódmy.
– W apreturze. Muszę tam zaraz iść.
– Chciałem panu coś powiedzieć...
– Słucham, słucham! – szepnął grzecznie, ale z pewną niechęcią.

Murray ujął go pod rękę i odprowadził w kąt za wielkie beczki, z których co chwila czerpano farby.

Kuchnia, bo tak nazywano tę salę, tonęła w zmroku. Pod okapami wiszącymi nisko, niby pod stalowymi parasolami kręciły się wolno, automatycznie, szerokie miedziane mieśzadła, przegarniające farby w wielkich kotłach, błyszczących miedzią polerowaną.

Budynek cały drżał od ruchu maszyn.

Długie transmisje, niby węże bladeżółte, nieskończonej długości, goniły się z szaloną szybkością pod sufitem, prze-wijały się nad podwójnym szeregiem kotłów, pełzały wzdłuż ścian, krzyżowały się wysoko, ledwie dojrzane w obłoku gryzących kolorowych par, co buchwały ustawicznie z kotłów i przyciemniały światło, i uciekały wśród murów przez wszystkie otwory do innych sal.

Sylwetki robotników w koszulach umazanych farbami przemykały cicho i jak cienie ginęły w zmroku, wózki z łoskotem wjeżdżały i wyjeżdżały obładowane farbami gotowymi, które wiozły do drukarni i farbiarni.

Ostry straszliwie zapach siarki rozchodził się wszędzie.

– Kupiłem wczoraj meble – szeptał do ucha Borowieckiemu. – Uważasz pan, do saloniku kupiłem żółte jedwabne w stylu empire. Do jadalnego obstalowałem dębowe w stylu Henryka IV, a do buduaru...

– A kiedyż się pan żeni? – przerwał mu dosyć niecierpliwie.

– No, nie wiem jeszcze. Chociaż ja chciałbym jak najprędzej.

– To już po oświadczeniach? – Spojrzał dosyć ironicznie na zgarbionego i dosyć śmiesznie wyglądającego Anglika; jego garb wydał mu się teraz potwornym, a on sam przypominał małpę tą długą, wystającą szczęką i szerokimi ustami, niezmiernie ruchliwymi.

– Tak jakby już. W niedzielę właśnie powiedziała mi, jak by chciała mieć urządzone mieszkanie. Wypytałem szczegółowo,

odpowiadała tak, jak odpowiadają kobiety, gdy idzie o ich przyszłe gospodarstwo.

– Ostatnim razem myślałeś pan tak samo.

– Tak, ale nie miałem takiej pewności ani w połowie! – zaczęła gorąco.

– No, kiedy tak, to wiesz panu szczerze. Kiedyż poznam narzeczoną?

– Na wszystko przyjdzie czas, na wszystko.

– Dlatego też wierzę, iż się pan w końcu ożeni – szepnęła drwiąco.

– Może byś pan przyszedł jutro do mnie, dobrze? Chciałem koniecznie usłyszeć pańskie zdanie o tych meblach.

– Przyjdę.

– Ale kiedy?

– Po obiedzie.

Murray wrócił do farb i laboratorium, a Borowiecki pobiegł dalej do farbiarni przez korytarze i przejścia zapchane wózkami naładowanymi towarem ociekającym wodą, ludźmi i stosami towaru leżącego na ziemi w wielkich kupach, oczekującego swojej kolei.

Co chwila zastępowano mu drogę z najrozmaitszymi interesami.

Wydawał krótkie rozkazy, szybko decydował, pospiesznie informował, czasem obejrzał próbkę farby, jaką mu przynosił robotnik, rzucił stanowczo:

– Dobrze lub jeszcze – i leciał dalej wśród spojrzeń setek robotniczych i szumu fabryki, co niby piekło wrzała chaosem.

Wszystko się trzęsło; ściany, sufity, maszyny, podłogi, huczały motory, świszczwały przenikliwie pasy i transmisje, turkotały po asfaltowej podłodze wózki, szczękały czasem koła rozpędowe, zgrzytały tryby, leciały wskroś tego morza rozbitych drgań jakieś krzyki lub rozlegał się potężny, huczący oddech maszyny głównej.

– Panie Borowiecki!

Wytężył oczy, bo wśród par, jakie zalegały całą farbiarnię, nie było nic prawie widać, prócz słabych zarysów maszyn. Nie wiedział, kto woła.

– Panie Borowiecki!

Drgnął, bo go ujęto pod ramię.

– A, pan prezes – szepnęła, poznawszy właściciela fabryki.

– Ja pana gonię, ale pan dobrze uciekasz.

– Robota, panie dyrektorze.

– Tak, tak, ja to rozumiem. Zmęczyłem się na śmierć. – Trzymał go silnie za ramię, zamilkł i dyszał ciężko ze zmęczenia. – Idzie, co? – zapytał po chwili.

– Robi się – rzucił krótko i szedł naprzód.

Fabrykant uczepiony u jego ramienia włókł się ciężko, podierał się grubą laską i zgarbiony prawie we dwoje podnosił okrągłe czerwone oczy jastrzębie i twarz dużą, świecąca, okrągłą, ozdobioną małymi baczkami i wąsami przyciętymi równo.

– Cóż, te watsony dobrze działają?

– Po piętnaście tysięcy metrów dziennie drukują.

– Mało – mruknął cicho, puścił jego ramię i przysiadł na wózku pełnym surowego perkalu, obciągnął gruby kaftan, w jaki był ubrany, podparł się laską i siedział.

Borowiecki pobiegł do wielkich kadzi farbiarskich, nad którymi na wielkich wałach rozwinięte zwoje materiałów kręciły się w kółko i kąpały w farbie, rozpryskując ją na twarze i koszule robotników, którzy stali nieruchomo, co chwila czerpiąc z kadzi wodę dłonią i patrząc, czy jest w niej jeszcze farba, którą wyciągał materiał.

Kilkadziesiąt tych wałów ustawionych rzędem toczyło się wciąż w kółko, z męczącą jednostajnością, długie, poskręcane zwoje materiałów pławiły się w farbach i błyskały w mgle matowymi plamami czerwieni, błękitu i ochry.

Z drugiej strony za podwójnym rzędem żelaznych słupów, podtrzymujących wyższe piętra fabryki i rozrośniętych gęsto po olbrzymiej sali, stały płuczkarnie; długie skrzynie, pełne wrzącej wody pieniącej się sodą, praczek mechanicznych, wyżymaczek, mydła, przez które przesuwiał się surowy materiał; bryzgi rozbitej trzepaczkami wody rozsypywały się na salę i tworzyły nad praczkarniami tak gęsty tuman, że światła paliły się zaledwie jakby odbite w lustrze.

Mechaniczne odbieracze szczękały, odbierając wyprany już towar na siebie, niby na rozkrzyżowane ręce i oddawały go

robotnikom, którzy prętami układali go w wielkie fałdy na wózki, podsuwane co chwila.

– Panie Borowiecki! – zawołał fabrykant do jakiegoś cienia, co się wychylił z mgieł, ale to nie był Borowiecki.

Podniósł się i włókł chore zreumatyzmowane nogi po sali, kąpał się z rozkoszą w tej rozpalonej atmosferze. Zatapiał schorowane ciało w sali pełnej oparów, ostrych zapachów farb, wody pryskającej z płuczkarek i z kadzi, ściekającej z wózków, chlupiącej pod nogami, lejącej się z sufitów, z których skropłona para opadała prawie strumieniami.

Szalony, podobny do drgającego jęku, szcęk centryfugi wyciągającej wodę z materiałów, przenikał całe sale, wświdrowywał się w nerwy robotników pilnujących, wpatrzonych w robotę i pochłoniętych zupełnie czuwaniem nad maszynami i rozbijał się o kolorowe, powiewające niby sztandary, materiały na odbieraczach.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas

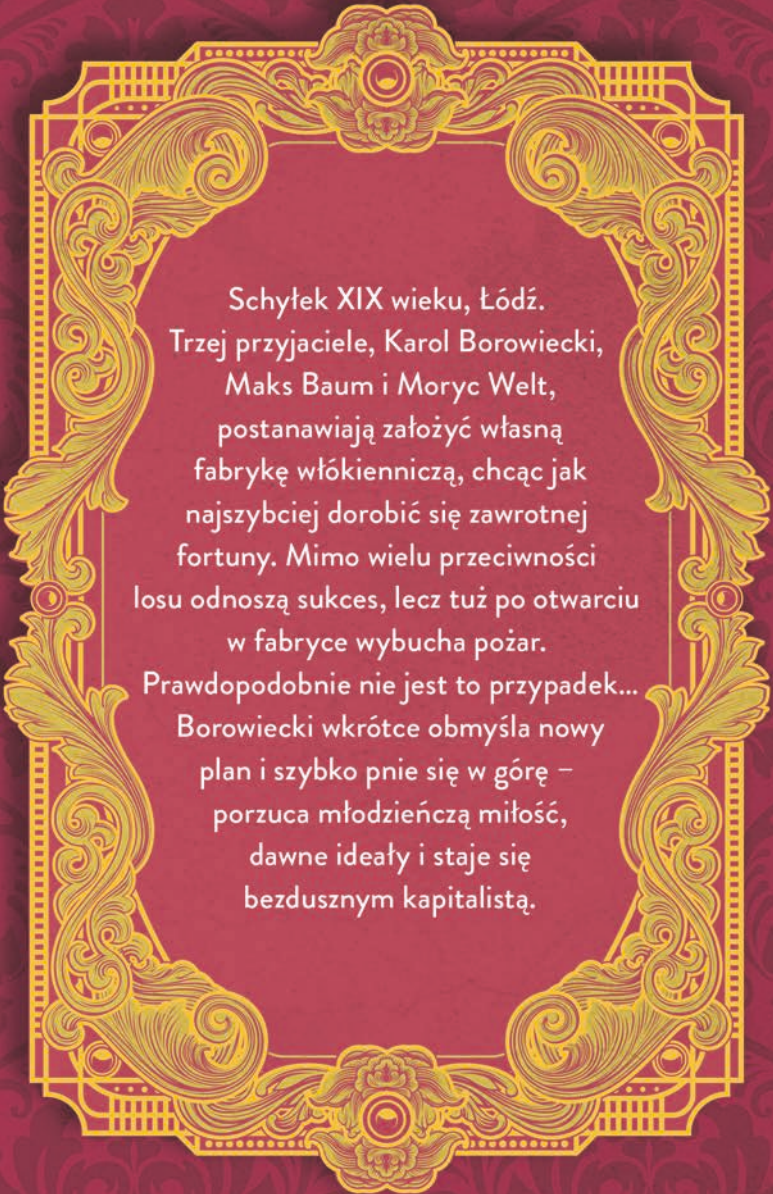


bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



Schyłek XIX wieku, Łódź.
Trzej przyjaciele, Karol Borowiecki,
Maks Baum i Moryc Welt,
postanawiają założyć własną
fabrykę włókienniczą, chcąc jak
najszybciej dorobić się zawrotnej
fortuny. Mimo wielu przeciwności
losu odnoszą sukces, lecz tuż po otwarciu
w fabryce wybuchu pożar.
Prawdopodobnie nie jest to przypadek...
Borowiecki wkrótce obmyśla nowy
plan i szybko pnie się w górę –
porzuca młodzieńczą miłość,
dawne ideały i staje się
bezdusznym kapitalistą.

Nr 21000363/D0

ISBN 978-83-68758-61-0



9 788368 758610



bukowylas.pl

Cena: 79,90 zł